№ 11.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp. 22 g. 20).

ZORZA

WARSZAWA
2 (14) Marca.
1868 r.

Prenumerować można
Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica. Nowy-świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

ZWODZIJASZ.

POWIASTKA.

(*Dalszy ciąg*).

Część III.

Co się dzieje daléj pod dębami? Jak się udała wieczerza? I jakim Stasiek był sędzią?

A ty jaszczurko jakaś! — rzekł kowal z uśmiechem — będziesz się to natrząsała ze mnie? Możebyś się napiła i ty piwa, żebyś tylko miała— hę? — Napiłam ci go się z wami pod wieczór w Cierpiętach, pono drugi raz w życiu dopiero, — a teraz to już chyba trzeci raz go pokosztuję. I po tych słowach, powstawszy, wyjęła ze słomy butelkę i stawiła ją przed zdziwionym Jędrzejem.



Jędrzéj rai Marysi męża.

—Kpisz czy co, Marysiu?, a ty zkąd wzięłaś piwo, tu w lesie? przecieś z nim nie siadała na wóz?—Nie szaleliście to w Cierpiętach w karczmie, żeście aż dwie butelki kazali dać od razu? Wyście jedną wypili z chłopcem, a jam tylko kapkę skosztowała z drugiéj, coście przedemną postawili, a zapłaciliście za obie, nawet się nie przyglądając.—I cóż z tego? —A nic, tylkom tę pełną wzięła z sobą na wóz dla was, albo dla waszego chłopca,—a teraz się oto przydała.

— A-to z ciebie jedyna dziewucha na świecie. Patrzcie jeno..... ta biedota z płaczem wychodziła z karczmy, a jednak jeszcze bardziéj o drugich, jak o sobie myślała. Kto cię Marysiu pojmie, to nie głupi będzie.—Tak się też i spodziewam, bobym ja głupiego nie chciała. Ale jédźcie jéno Jędrzeju, bo już w sam raz się

upiekło,—jédzcie, a zamiast chleba, przegryzajcie ziemniaczkami.

— A tyś zkąd ziemniaki wzięła?—Ba! wam i to dziwy... przed karczmą znalazłam, co je ktoś pogubił i nakładłam do kieszeni. —I upiekłaś je już?—Bo włożyłam je w ogień, jak tylko się rozpalił, wszak to w polu zawsze tak się robi.

-- No, Maryś, to teraz będziemy wieczerzali pospołu, ja zaś wypiję za twoje zdrowie, życząc ci dobrego męża, —tak jakbyś sobie sama miała życzyć, tylko mi musisz powiedzieć, jakiego.— Trudnoćby mi było powiedzieć, jakiego, bom ci o nim jeszcze nie myślała.—Jakto?—wcale, nigdy?—rzekł Jędrzéj zaczynając jeść z niezmiernym apetytem, izostawiając najlepsze kawałki dla dziewczyny, która je stale odsuwała, przestając na kilku ziemniakach i popiciu ich piwem.

— Powiedz-że mi Maryś—zagadnął znowu Jędrzéj—nie myślałaś to jeszcze ani razu iść za mąż? masz przecie latka po temu?

— Może to i prawda—rzekła—aleć ja biedna, uboga, a na gospodarstwo trzeba ze sto talarów, a ja ich pewnie i za dziesięć lat nie zarobię.—Biedne dziewczę! Żebyć mi ojciec Łukasz chciał dać choć z połowę tego dla ciebie na posag!..—Bóg zapłać, Jędrzeju!.. a cóżby to dopiero o mnie powiedzieli? — A i cóżby gadać mieli, wszyscy wiedzą, żem stary i ciebiebym pojąć nie mógł...—Słuchajcież-no Jędrzeju, pono się wasz chłopiec zbudził—przerwała Marysia.

Stasiek podniósł się i obejrzał dokoła, jakby w zamyśleniu.

— On-ci zawsze jednaki, obudzi się pewnie, niech jéno jeść zaczną. Choćby strzelać, to go nie obudzi, ale niech jeno gębą kto ruszy, to się ocknie od razu.—Musieliście być takusieńcy sami, jakeście i wy byli mali — odpowiédziała Marysia z uśmiechem. A cóż ty Stasiek, patrzysz pułapu nad sobą? Nie widzisz to, że on cały umajony, choć ojczulko wieczerza jak zwyczajnie. Nie chciałbyś to i ty powieczerzać? Nie bój się, moje złoto, jam ci nie zjadła twojego, wiedziałam-ci ja dobrze, żebyś się upomniał jak o swoje.

— Powiadam ci Maryś, że i ty jeść musisz—zawołał Jędrzéj—ze mnie bo też nienasytek wielki, a ty to i sobie pożałujesz, żebyśmy mieli więcéj. Aż mię wstyd ogarnął i ja nic jeść nie będę i chłopcu nie dam, jak ty nie będziesz.—Dalibyście pokój święty—rzekła—albo wy to możecie naszym apetytom rozkazywać czy co? bo co do mnie, to już mam dosyć, ale wasz chłopiec to do jadła oto gotowy, jak młody wilczek. Patrzcie tylko, jak się zabiera, ho, ho, będzie i z niego gospodarz.

Wistocie Stasiek pokazał się niedługo godnym synem swego ojca; i zaledwie się przebudził, nie dopytując się nawet, gdzie się znajduje, zaczął z chciwością zajadać. Następnie zaspokoiwszy głód, wpadł w pewien rodzaj rozumowanego dowcipkowania, w jaki dzieci często wpadają, gdy przerwą zwykły tryb życia.

Stał się też jakoś żywszym i skłonnym do gadatliwości. Dowiedziawszy się najprzód, że się teraz znajduje śród lasu, przeląkł się nieco.—Czy też tu są wilki w tym boru?—zapytał ojca.

— Nie, nie, nie bój się, tu żadnego nie ma.

— Toście wy ojczulku, zełgali, jakeście gadali, żeby mię wilki porwały, jakbym z wami przez bór jechał.—Widzicie go, jaki to teraz wygadany, kiedy się najadł—rzekł Jędrzéj trochę zmięszany.

— Ma słuszność—rzekła Marysia —bo chłopiec ma pamięć to i pamięta, żeście go tylko durzyli. Ale ty Stasiek, masz wiedzieć, że ojciec nigdy nie kłamie. Przebyliśmy co największe bory, jakeś spał nieboże, a teraz oto siedzimy w maluchnym lasku, gdzie to wilcy nie bywają.—A daleko ztąd do dużego boru?— Kawałek-ci niezgorszy—rzekła Marysia— ale jakby nawet i który wilk przyjść tu się ośmielił, toćby go ojczulko na miejscu zabił.

— Czy i ty Marysiu?— A tylko co?.. a i tybyś mi jeszcze pomagał, mój Staśku; toć się nie boisz pewnie. O! waliłbyś z góry.— A juści, a juści — rzekł pobudzony chłopczyna, przybierając śmiałą postawę—cobyśmy zabili, tobyśmy zabili.

— Jedynaś ty do gadania z dziećmi—odezwał się Jędrzéj.. Mnie się też wszystko wydaje, że czém młodszym się jest, tém snadniéj się z młodszymi rozumie. I dla tego

się téż boję okrutnie, żeby takiéj oto kobiecie, co jéj już trzydziestka minęła, a która jeszcze nie wiedziała, jak to matką być, żeby jéj się, mówię, nie zdało ciężko rozmawiać z takim drobiazgiem.

— Czemuż-by znowu potrafić nie miała —rzekła Marysia—ja tam nie wiem, co wam w głowie względnie téj kobiety; aleć wy się przecie jeszcze nawrócicie, Jędrzeju.

— Bierz ją licho i kobietę; chciałbym ci się i nawrócić, ale tak, żeby się więcéj do niéj nie wracać. Cóż mi po kobiecie, któréj nie znam.

— Co wy, ojczulku—odezwało się dziecko—ciągle gadacie tylko o waszéj kobiecie, kiedy ona umarła.

— Ha, toś ty jéj przecie jeszcze nie zapomniał, chłopcze! twojéj biednéj a kochanéj matki.

Juścić nie, ojczulku, bo pomnę jeszcze, jak mamuńkę kładli w tak śliczną żółtawą skrzynkę, a babka mię zaprowadziła tam, żebym pocałował mamuńkę; a była tak okrutnie biała, i zimno jéj było pewnie, bo mi ciotka codzień teraz każe Boga prosić, żeby mamuńce dał się iść ugrzać u siebie; czy mamuńka tam jest już teraz ojczulku?

— Bóg tylko może wiedzieć o tém, mój synku,—wszelako zawsze się trzeba modlić do Pana Boga, żeby twoja mateczka poznała, że ją kochasz.—To zmówię pacierz—zawołało dziecię—zapomniałem go też zmówić na wieczór. Tylko że sam nie poradzę, niech mi Maryśka pomoże.

— Dobrze, dobrze, mój Staśku, ja ci podpowiem. Chodź, moje dziecko, uklęknij tu na moich kolanach.

I dziecko uklękło na kolanach dziewczyny, złożyło swe drobne rączęta i zaczęło mówić pacierz, zrazu uważnie i gorąco, daléj coraz wolniéj i nieśmieléj, aż nakoniec powtarzało tylko słowa, jakie mu Marysia podpowiadała, gdy doszło do tego miejsca, w którém zwykle sen zbyt go opanowywał. Jakoż i teraz z trudnością wymówiło ostatnie wyrazy, główka jego obwisła na piersi dziewczyny, rączęta opadły i roztwarte spoczęły na jéj kolanach.—Przy świetle ogniska Jędrzéj wpatrywał się w tego anioła uśpionego na sercu dziewczyny, która trzymając go na ręku i rozgrzewając lniane jego włosy swojém czystém tchnieniem, uległa nieznacznie sama pobożnemu jakiemuś marzeniu, a jéj piękna dusza drżała modlitwą za duszę Katarzyny. Jędrzéj był rozczulony; silił się powiedzieć Marysi coś, coby jéj dało poznać, ile wdzięczności i szacunku wzbudziła w nim dla siebie; i na nic nie mógł się zdobyć. Zbliżył się, pocałował syna, którego ona do piersi tuliła, i ledwo zdołał oderwać usta od czoła Stasia.

— Za wiele go całujecie—rzekła Marysia —odpychając zwolna głowę kowala. Jeszcze mi go obudzicie. Puśćcie, niech go na wózku położę, niech go Anioł Pański strzeże.

Dziecię wyciągnęło się spokojnie na derce, zapewniło się, że już wilki wcale nie przyjdą, i wlepiając wielkie swe niebieskie oczy w wiszące nad niém gałęzie, zdawało się przez chwilę jakby marzyć na jawie, lub też zajęło się jakąś niewyraźną myślą, zkąd mu wreszcie wypłynęła następna uwaga:

— Ojczulku, jeżeli wy chcecie mi dać drugą mamuńkę, to ja nie chcę innéj tylko Marysię.—I nie czekając odpowiedzi, przymknęło powieki i zasnęło zupełnie.

Marysia nie zwracając uwagi na te słowa malca, okryła go starannie, roznieciła ogień na nowo, a gdy mgła jeszcze ciężko drzemała nad pobliskiemi wądołami, radziła Jędrzejowi, żeby usiadł przy ognisku i przespał się trochę.—Widzę, że wam się na sen zbiera, bo już i słówka nie rzekniecie—mówiła do niego i patrzycie tak jakoś na żar, jak dopiero co wasz Stasiek patrzał. —Co to, to nie!—rzekł zapalając fajeczkę, tobieć to się prędzéj przespać Maryś, a ja będę was obojga pilnował, bo mi się wcale spać nie myśli; tylko siła rzeczy w głowie mi się kotłuje.

— Siła, to kupa, rzekła dziewczyna żartobliwie,—mój Boże! tyle ludzi jest na świecie, co i o jednej rzeczy naraz myśléć nie potrafią!

— Ha! jeżeli nie siła, to choć jedna rzecz jest taka, co mi z godzinę już pokoju nie da.—A jabym wam powiedziała tę rzecz, coście o niéj dumali.—Ha, dobrze Marysiu, to powiedz—powiedz sama, a dopiero mię to ucieszy..,—Będzie temu z godzina, toście

myśleli coś koło jedzenia, a teraz to już około spania.

— Oj Maryś, Maryś, nicpotém z ciebie dziewucha: za prostaka mię wielkiego uważasz,—prześmiewasz człeka, co mu i tak nie wesoło.—Ha, toć rozmawiajcie, kiedy macie ochotę—odpowiedziała dziewczyna, położywszy głowę na dłonie, któremi się wasągu trzymała.—Coś was złego opanowało, Jędrzeju, uwzięliście się sami martwić siebie, — a cóżby to dopiero o mnie powiedzieć?...—Dobrze mówisz, moje dziecko, aleć to właśnie tak mnie markoci! Będziesz gdzieś daleko od swoich, gdzie same pustkowia a bagna, jeszcze zachorujesz nieboże... Wreszcie może tam nie będą dobrzy dla ciebie. To mię oto tak smuci, że ci wypowiedzieć nawet nie mogę, aż mię chętka bierze zawieźć cię nazad do matki, zamiast na kolonię.—Mówicie zwyczajnie z dobrego serca, Jędrzeju, aleć nie mądrze, Bóg widzi, nie trzeba znowu być tak bojaźliwym za swoich przyjaciół, — i lepiéj staralibyście się pocieszyć mię trochę teraz, jak tam na Cierpiętach w karczmie, niż podmawiać na biedny los.

— Boć mi się w tę godzinę zdaje inaczéj. Ponobyś lepiéj zrobiła, żebyś sobie męża znalazła.—O tém ani myśléć, Jędrzeju, jakem wam już mówiła.—A jakby ci się trafiło? Możebym ci ja po woli twéj jakiego mymyślił...—Wymyślić, to jeszcze nie znaleść; ale ja tam nie chcę i myśléć o tém, bo się to na nic nie zdało.—Bogategobyś nie chciała?—Pewno że nie, kiedy sama nic nie mam.—Ale żeby tylko był zasobny, toćby nie zawadziło ci mieszkać w dobréj hacie, mieć i dobrą strawę i przyodziewek i wejść między dobrych ludzi, coby ci pomogli i około twojéj matki.—Oj! zapewne!... wesprzéć matkę,—tobym sobie już niczego więcéj nie życzyła.—Żebyć się też to właśnie tak trafiło,—a choćby też człowiek był przytém i przystary trochę, możebyś i nie była tak bardzo wybredna, Marysiu.

— Oj, wybaczcie Jędrzeju, ale ja właśnie staregobym nie chciała.—Juścić docna starego, nie mówię; ale w moich latach na ten przykład?

— Wasze lata Jędrzeju, to już za stare dla mnie; wolałabym może w latach Marcinka z Kałuszyna, choć on nie tak jak wy przystojny.

— I wolałabyś Marcina wieprzarza człeka, co ma oczy takie, jak jego trzoda?
—Co tam oczy, kiedy parobek ośmnaście latek.—

Zazdrość ogarnęła serce Jędrzeja.—Jak widzę, to ci strasznie o tego Marcinka chodzi! Jednakże to dziwy!—Pewno, że dziwy! —odpowiedziała Marysia śmiejąc się do rozpuku—ba, i dziwnyby też to był z niego mąż. Coby kto chciał, toby mógł w niego wmówić. Niedawno oto wzięłam pomidora, com go na rynku znalazła, i powiedziałam mu, że to takie śliczne czerwone jabłuszko, a on ci gryznął zaraz, jakby trzy dni nie jadł. Żebyście wy byli widzieli, jak się zaczął wykrzywiać, mój ty Boże! jakiż on był brzydki.—A i tak go to miłujesz, kiedy się z niego przeszczerzasz?—Juścić pewnie, że go nie kocham, takiego smolucha i gbura takiego, razem z jego siostrą.—Jednak ja sobie miarkuję, że ty dziewczyno pewnie masz jakiego gacha na myśli.—Nie Jędrzeju, mocnoście się omylili. Niemam-ci żadnego,—a kiedy nie mam iść za mąż, aż sobie dopiero co uciułam, to pono nie prędko będzie, i trza będzie wziąć i starego.—To lepiéj idź za starego od razu.—Co nie, to nie, chyba jak i ja się trochę podstarzeję,—a teraz to jeszcze nie.

— Oczywiście, Marysiu, jam ci się oto wcale nie spodobał,—to widno jak we dnie, —rzekł urażony Jędrzéj, nie zważając co mówi.—Marysia nic nie odpowiedziała: Jędrzéj nachylił się do niéj, lecz dziewczyna spała. Uległa znużeniu i nagle jakby piorunem rażona, usnęła, jak się to często tym zdrowym wiejskim naturom przytrafia. Jędrzéj ucieszył się to widząc, bo żal mu było, że te ostatnie słowa wymówił. Odwrócił się od niéj, chcąc rozerwać myśli, ale nadaremnie. Obszedł ognisko dokoła po dwadzieścia razy, to się oddalał od niego, to znowu powracał. Nareszcie, nie mogąc sobie dać rady, czując się ogólnie rozdrażnionym, jakby po wypiciu wódki z prochem, oparł się o drzewo, pod którém spoczywało dwoje naszych dzieci i zaczął się śpiącym przypatrywać. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

SYN RZEŹNIKA.

Sławny uczony Hanka.

Było to dnia 10 czerwca 1791 roku,— w Królestwie Czeskiém we wsi Hoszynie w hacie rzeźnika i karczmarza téjże wsi, Hanki, cieszono się przyjściem na ten świat małego chłopczyka. Uradowany karczmarz w kilka dni pospraszał znajomych na chrzciny swego potomka, któremu dano na imię Wacław. Na ławach siedzieli starzy mieszkańcy wioski, gwarząc i popijając piwo, a podchmieliwszy się zaczęli wróżyć ojcu, iż dziecko jego będzie wielkim człowiekiem.

W 69 lat potém, w r. 1861 dnia 15 stycznia ciągnął ulicami Pragi Czeskiéj wspaniały pogrzeb. Na karawanie znajdowała się bogata trumna, na któréj leżał wieniec wawrzynowy; sznury karawanu były trzymane przez książąt, hrabiów i uczonych czeskich; na bokach tegoż karawana znajdowały się tarcze, na których wbrew zwyczajowi nie znajdował się herb zmarłego, lecz jego nazwisko. Za trumną szedł Namiestnik cesarski, otoczony gronem panów bogatych, daléj zaś postępował tłum ludu liczącego przeszło dwadzieścia tysięcy. Od wyjścia pogrzebu towarzyszył mu chór śpiewaków, którzy zastąpieni zostali przy wejściu na cmentarz uczonymi. Cmentarz Wyszehradzki był napełniony ludźmi; tam się udał cały orszak. Przy składaniu w grobie ciała zmarłego, wystąpił z mową przyjaciel jego, znany powszechnie z zasług ksiądz Wacław Sztulc. Mowa jego była długiém wyliczeniem zasług tego, który z całą czcią był chowany. Jeżeli cudzoziemiec przypadkowo znajdujący się w mieście zapytał przechodnia, czyj taki pogrzeb, usłyszał odpowiedź: „Wacława Hanki, syna rzeźnika.“

I cóż zrobił ten Hanka? jakież jego zasługi? zapyta się może nie jeden z was czytelnicy. Trudno jedném słowém zdać sprawę z jego życia, chcąc więc zadość uczynić pytającym, trzeba opowiedzieć w krótkości ciąg wypadków tego życia.

Ojciec Hanki będąc rzeźnikiem, pragnął, aby i syn jego obrał sobie ten zawód. Posługiwał się więc nim przy rzeźnictwie, a potém kazał mu paść owce. Wacław widząc, iż jego rówiennicy chodzą do szkółki parafialnéj, uczą się w niéj, czytają rozmaite powiastki, zapragnął także uczęszczać do szkółki. Posyłał go więc ojciec, a gdy Wacław miał lat 16, powodowany częścią jego prośbami, częścią z powodu poboru do wojska, posłał go do bliskiego miasta Królowo-Hradu, aby uczęszczał do szkół wyższych. Tu Wacław dowiedziawszy się o rozmaitych narzeczach języka słowian, z zapałem wziął się do poznania ich w wolnych od nauki godzinach. W pięć lat potém pojechał do Pragi; gdzie wstąpił do uniwersytetu, dla dokończenia którego pojechał do Wiednia. W obu tych uniwersytetach musiał zarabiać lekcjami, przepisywaniem i rozmaitemi środkami na opłacenie kursów, mieszkania i na życie. Tam odznaczał się on wielkiem zamiłowaniem języka czeskiego, którego wielu z panów czeskich już nie umiało. Wiele zacnéj młodzieży wraz z Hanką rozmiłowawszy się w tym ojczystym języku, zaczęli się zbierać dla coraz większego wydoskonalenia się w nim. Po wyjściu z uniwersytetu został wspołredaktorem pisma: „Nowiny Czeskie.“ Największym jego przyjacielem był Józef Dobrowski, znany uczony, podług zasad którego wydał późniéj Hanka gramatykę czeską, (to jest naukę języka czeskiego). Został on bibliotekarzem, czyli nadzorcą książek przy Bibliotece Czeskiéj. Znajdując się pewnego razu w Królowo-Hradzie, poznał się z księdzem Pankracym Berezą, co mu posłużyło do zyskania wielkiego rozgłosu. Hanka odwiedził raz księdza Berezę, który w rozmowie napomknął o znajdujących się na wieży kościoła w tém mieście starożytnych zbroic, pod któremi leżały jakieś zwitki pergaminowe. Ciekawością zdjęty Hanka, poprosił księdza o wynalezienie tych zwitków, na co gdy się ksiądz zgodził, niecierpliwy Hanka znalazł na owych pergaminach spisane bardzo stare, rycerskie pieśni czeskie. Uradowany poprosił rady miasta o darowanie mu onych, na co gdy zezwolono, pojechał do Pragi i wydał je pod napisem *Rękopismu Królodwor-*

skiego (czyli z czeska Królo-hradskiego. Wydanie to obróciło nań oczy wszystkich, zostały pieśni te przetłómaczone na kilkanaście języków; na polski przetłómaczył je Lucjan Siemieński. Odtąd obdarzany coraz nowemi urzędami i zaszczytami, napisał wiele dzieł, z pomiędzy których znaczniejsze są: *Dzieje Czeskie w Obrazach, Krótka historja narodów słowiańskich* i inne. Wydał także bardzo ważną *Kronikę Czeską Dalemila.* Znając język polski, przetłómaczył nasze Krakowiaki, napisał także Gramatykę języka polskiego.

Był on powszechnie znany i szanowany; najwyżsi stanem i najniżsi, byli z nim w przyjaźni. Szczery, otwarty, gościnny, mający zawsze na myśli pokazanie drogi przyszłemu pokoleniu, przejęty uczuciem przyjaźni dla wszystkich Słowian—oto były jego przymioty. Oto co było powodem tego wspaniałego pogrzebu Hanki, który na trzy dni przed nim t. j. 12 stycznia o godzinie 6éj po południu zszedł z tego świata z powszechném ubolewaniem. Dowód to jasny, jak w świecie umieją cenić ludzi uczonych!

Kazimierzowicz.

CUDOWNA POTĘGA
RYDLA I PŁUGA.

(*Ciąg dalszy*).

Do prowadzenia takiego życia warto jest poświęcić nietylko *pręt* i *morgę*, ale i *włókę* ziemi, kto ją posiada lub posiadać może. Lecz życie to niechaj będzie rzeczywiście wszechstronném życiem naszém ludzkiém i najbardziéj zbliżającém się do życia naszych odległych przodków słowiańskich, które obok innych zalet odznaczało się, jako z natury swojéj życiodajne i względem pielęgnowanych przez nich istot i względem nich samych, jeżeli nie większą, to przynajmniéj taką długością i błogością, jaką się znamionowało życie tak zwanych z greckiego patryarchów, czyli ojców rządzców, prowadzących właśnie takie, chociaż nie do jednego miejsca przywiązane życie i chociaż nie do wszystkich owych niewinnych i najużyteczniejszych spółstworzeń naszych rozciągające się, ale zawsze życiodawcze i opatrznościwe życie.

Największą przeszkodą do rozpoczęcia takowego życia, czyli raczéj do uczynienia naprawdę zwrotu ku niemu, bo jest ono naszém odwieczném, tylko trochę zaniedbaném przez nas życiem: stanowić będzie ów zacięty i zgubny nasz upór, który według przysłowia naszych ojców, każe nam iść raczéj do piekła, aby po swojéj niby drabinie, niżeli do nieba po cudzéj. Ale i na to złe znaleść możémy łatwo środek, gdy się zastanowimy nad rzeczami dobrze i gdy przekonamy się, że ta drabina nie jest rzeczywiście cudzą tylko naszą, i gdy nie będziemy jéj uważali za drabinę, ale tylko niejako za przystawkę do odwiecznie wskazanéj nam drabiny przez pasterza z Horebu, a zatém wiekami uświęconéj, dziesięcio-szczeblowéj, do tegoż nieba, chociaż tylko przez swoją, niemal wyłączną starozakonną i na swój czas wystarczającą *zakazowość* prowadzącéj drabiny.

Przystawka ta uzupełnioną została przez nowy zakon Chrystusowy i przez nowe objawione nam w nim życie w słowach Zbawiciela nakazujących: ,,Będziesz miłował Pana Boga swego ze *wszystkich sił* twoich, a bliźniego twego, jak siebie samego,'' i w innych, jeszcze dobitniejszych, to jest w słowach: ,,Bądźcie doskonałymi, jako doskonałym jest Ojciec wasz w niebiesiech,“ a zatém nie zakazujących złego, ale nakazujących dobre, co czyni człowieka nie zerem rachunkowém, ale liczbą wartość mającą. Przystawka ta, czyli drabinka do drabiny, składa się, jak zauważaliśmy, z czterech szczebelków, wskazanych nam przez cztery owe wiadome nam boskiéj mowy naszéj słowiańskiéj wyrazy, oznaczające naszą i powszechną szczęśliwość, to jest wyrazy: błogiéj *wesołości*, niewinnéj *rozkoszy*, wzniosłéj *pociechy* i trwałéj niebiańskiéj, czyli opatrznościwéj *radości*. Przystawka ta nie będzie zapewne dawała powodu do gniewu tym ludziom, którzy wiedzą, że nie jest ona jedyną w w swoim rodzaju rzeczą i którzy pamiętają o tém, że nie można bez przejścia niższych, z czegobądź zbudowanych szczebli dostać się na wyższe,—a jeżeliby im go dawała, to

tylko chyba w takim przypadku, gdyby podzielali przekonanie, że plemię, do którego wraz z tymi, coby na nich gniewali się— należą, tak wielkie już położyło zasługi przed Bogiem i ludźmi, w miłych dla Niego, a zbawiennych dla nich usiłowaniach i pracach, iż może już spoczywać spokojnie na zasłużonych przez siebie w téj mierze wawrzynach; że plemię to może już nie troszczyć się i o to, co o niem z tego powodu mówić będą inne, zwłaszcza niechętne mu, a niby zasłużeńsze od niego w téj rzeczy plemiona i z téj przyczyny same tylko siebie uznające za godne istnienia na ziemi.

Przystawka o któréj mowa, tyle być może mniejsza od drabiny owéj dziesięcioszczeblowéj, prowadzącéj nas do nieba, ile jest mniejszą jéj podstawa jednoprętowa, od podstawy drugiéj, którą stanowiła niejako wspomniana i ze czcią religijną przez nas wszystkich wspominana góra Horeb. Jednak i ona z bożego i na bożéj ziemi wzrosłego zbudowana jest materjału, i jaki wskazują cztery rodzaje *szczęśliwości* naszéj i powszechnéj, bo nawet aż opatrznościowéj, to jest: wspomniana dopiero błoga *wesołość*, niewina *rozkosz*, wzniosła *pociecha* i trwała niebiańska *radość*, uważana wraz z półstworzeniami naszemi uszczęśliwialnemi i *uszczęśliwiać* się przez nas przy pomocy boskiéj, a w szczególności *uweselać*, *urozkoszniać*, *ucieszać* i *uradowywać* mogącemi wraz z nami i może dla naszéj szczęśliwości wywiedzionemi z nicestwa spółstworzeniami. Wprawdzie w porównaniu z podstawą drabiny (do któréj od wieków podnóżka, śmiemy ją przystawiać nie z jakowéj nagany i niegodnéj najdoskonalszego stworzenia boskiego dumy, ale z miłości tegoż Boga i naszych bliźnich) podstawa owéj drabinki może być tak małą rzeczą, jaką jest przestrzeń ziemi jednego pręta w porównaniu z przestrzenią stanowiącą podstawę najrozleglejszéj i najwznioślejszéj wyżyny, na bożéj ziemi zwanéj wyżyną niebieską, z niemiecka *hymelską* czyli *hymalajską*. Jednak zaprawdę, rzecz ta jest, a przynajmniéj kiedyś, gdy się pozbędzie wady świeżości, a tém samém nabędzie zalety obstarzałości, będzie cokolwiek znaczącą, a więc nawet teraz może być choć cokolwiek także obchodzącą tych z nas, którzy się lubimy zastanawiać nad podobnemi rzeczami.

Że podobnego rodzaju rzeczy jest już wiele na świecie bożym, chociaż wprawdzie ręką ludzką, ale przy pomocy wspierającéj ją niewidzialnéj Opatrzności boskiéj zbudowanych, bo widocznie do dobroczynnych celów téjże Opatrzności skierowanych,—zapewniają nas o tém wszystkie dzieła, tak słowne jak rzeczowe, dokonane od początku świata aż dotąd przez ludzi po Bogu (pobożnie) czyli po opatrznościowemu, niezaprzeczenie żyjących i razem z tąż Opatrznością nad dobrem swoich bliźnich i swoich oddanych przez Nią pod opiekę ludzką spółstworzeń pracujących.— (*Dokończenie nastąpi.*)

Gdéranie ranne u Kurpiów. (1)

1.

Już poranna wstała zorza,
Już świeci nad nią jutrzenka,
Już i słonko idzie z morza,
I wnet zajrzy nam w okienka.

2.

Już zagrała i legawka,
Już na Anioł dzwoni dzwonek,
Już w gaju kuka kukawka,
Już śpiewa w polu skowronek.

3.

A ty jeszcze w gnieździe gnijesz,
Choć to niby dziś półświątek;
No, no, przecież że choć żyjesz:
Toć się drapiesz na początek.

4.

Daléj! leniu do roboty!
Chcesz i dzisiaj szabasować?
Bóg nie doda ci ochoty,
Gdy nie zechcesz sam pracować.

5.

Toć przez pracę Bóg świat stworzył,
Przez nią wszystko utrzymuje,
Przez nią i szatana pożył,
I za pracę nas miłuje.

6.

Oj tak! *praca nas zbogaca*,
I z Bogiem lud skrzętny jedna,
I najlepiéj się opłaca;
Przez nią ginie dola biedna.

7.

Nie drapże się już Michale,
I pod nosem przestań mruczyć,

---

(1) Kurpiami nazywamy lud zamieszkały w przetrzebionych już dziś puszczach około rzek: Narwi i Buga: to jest w Ostrołęckiéj i Myszenieckiéj; nosi on obuwie łyczkowe, czyli łapcie zwane *kurpiami*, i ztąd ich nazwa.

Nie przystojnie ci to wcale:
Chcesz nas od sów życia uczyć?

8.

Zgorszeń z siebie, oj! nie dawaj,
Trzymaj lepiéj po-staremu:
Kładź się z kurmi, z kurmi wstawaj,
Nie żyj po nietoperzemu.

9.

Nietoperz po dniu nie widzi,
Tak jak brzydka ćma i sowa,
Lecz brzydoty swéj się wstydzi,
Z nią się na dzień w dziurach chowa.

10.

Bóg za brzydkie życie brzydotą nas karze,
I to brzydotą ciała i duszy,
Nic jéj tak łatwo nie zmyje, nie zmaże,
Jak dzienne życie, jak ów świt pastuszy.

11.

Wiesz, co z siebie Mojżesz i Król Dawid zrobił,
Pasając bydło długo w swojém życiu,
Wiesz, czém się na króla i Piast nasz sposobił,
Gdy lechę swoją siał, orał w ukryciu.

12.

Otóż gdy już tak jest, że najmniejsza praca,
Byle poczciwa, Bogu ludziom miła,
Zawsze nas czémś dobrém nieznacznie zbogaca,
I z niéj się czerpie do nowych dróg siła;

13.

Przeto wstań Michałku, bierz się! i wesoły,
Daléj, na wygon ciągnij z krówkami,
A gdy przyjdzie zima, znów pójdziesz do szkoły,
Boć nas za długo świat chrzci już wołami! *J.**

Kumoszka całego świata.



— W tych dniach, proszę państwa, mój znajomy dobry pan, czytał mi bardzo wesołą komedję, co ją napisał na te czasy, — a kiedy czytał, to uważał, czy ja śmiać się będę, bo powiadał, że jeden sławny Francuz tak samo czytywał swoje komedje kucharce, i kiedy się śmiała całém gardłem, to miał znak, że komedja napisana dobrze. Mnie się też owa komedja bardzo spodała, a nawet kilku zwrotek ze śpiewek, jakie tam są, nauczyłam się na pamięć. Ot, naprzykład o naszych poczciwych... sługach tak pisze:

Sługa kupi mydło białe,
Bo jéj rączki delikatne,
Państwa wielkie, a jéj małe
Do szarego już niezdatne.
Zjé, wypije, śpi spokojnie;
Bo dziś służyć—rzecz zabawna:
Mało trudu, płacą hojnie,
Choć się bieda wkrada jawna.—

Ba! moja znajoma Nastusia dziś się i bawi lepiéj niż sami państwo: co Niedziela zawsze jakiś nowy gaszek prowadzi ją z kuchni na spacer i kupuje karmelki! Oj! myślę sobie, wielki grzech moje panie czynicie, że pozwalacie owym damom—służącym próżnować, a najemnikom przynosić dla nich wodę i drzewo do pieca. O piekarzach tak tam stoi w téj komedji:

Piekarz piecze bułki małe,
Żyto drogie i przenica!
—Bułki świeże, doskonałe!
Lecz cóż z tego? jest różnica:
Tych cudownych śniadych bułek,
(Nie tak jak to było dawniéj)
Zjé się cztery jak pigułek!
Boć to bieda coraz jawniéj....

A najwięcéj mnie już bawią te *kajzerki*, co tak są wielkie jak dobry guzik, a kosztują po 2 grosze.— O krawcach taką tam zwrotkę znalazłam:

Krawiec kraje palto nowe,
Sukna braknie, nawet mało!
A gdy palto już gotowe,
Sukna łokieć pozostało!..
Więcéj mówić, rzecz to zdradna:
Boć to biéda dziś tak jawna!..

Zagadka.

Leciał ptaszek
Przez malowany lasek,
Latając, biada:
Grają organy,—
Mój plon kwietniany;
Ogieniek zjada.—?

Znaczenie poprzedniéj Zagadki: *Ptak* (raz jako jaje, drugi raz wykluty).

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.